

## LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

### Miasto Kotlas

(tułaczki ciąg dalszy)

W tej szkole czekano na nas. We wszystkich klasach były przygotowane prycze. Pomimo że stąd nigdzie nie można było uciec, szkołę otoczyło wojsko. Zaostrzały się kradzieże. Mama mówiła, że nie robią tego osadnicy, a hołota, która jechała z nami i nie wiadomo skąd się wzięła. Dorośli przypuszczali, że są to ci, którzy dobrowolnie jechali budować miasta na Syberii.

Mieliśmy już *gław-komendanta* - Rosjanina, który ostrzegał Polaków, aby nikt samowolnie i w pojedynkę nie wychodził, bo zdarzają się napady i pobicia, a *bez propuska nielzia*. Mamy czekać kilka dni na podwozy i pojedziemy do posesioków, gdzie czekają nas ciepłe domy i dobra praca. Te kilka dni zamieniły się w tygodnie i końca czekania nie było widać.

W szkole spotkaliśmy prawie wszystkich naszych sąsiadów i znajomych. Wymienię tych, których znałam, choćby ze słyszenia. Byli więc: Berchertowie, Ślufikowie, Borkowie, Tkaczykowie, Guzikowie, Piskorscy (ich malutki synek już nie żył), Januszowie, Cwajnowie i inni.

Czasami rodzice dostawali *propusk* i wtedy chodziliśmy to z mamą, to z tatą oglądać miasto. W oczy rzucała się duża i piękna przystań, z hasłami głoszącymi dostatek i wyższość najlepszego na świecie ustroju, a nad wszystkim olbrzymi portret Stalina. W tym biednym mieście czuliśmy się obco. Miasto miało niską zabudowę, domki przeważnie parterowe i drewniane. Drewniane były także chodniki. Czasami wpuszczano nas do domów (mama mówiła, że drzwi otwierają nam nasze okrycia, gdyż nie wyglądamy na *bradiagów*, a podobno

pełno ich się tutaj wałęsało. Uciekali z zesłań. Stąd częste rabunki i napady).

W mieszkaniach ściany były „wytapetowane” gazetami, lecz podłogi śnieżnobiałe. Widziałam, jak kobiety je myły. Przynosiły duży kawał kamienia mieniącego się miką i kwarcem, rzucały nim o podłogę, polewały wodą i szorowały zdartymi miotłami aż furczało. Te podłogi to jakaś mania tamtych kobiet. O nic tak nie dbały jak o czystość podłóg, to też w każdym domu pachniało lasem, bo podłogi były sosnowe.

Stare kobiety patrzyły na nas z litością i łzami w oczach. Z mamą rozmawiały grzecznie i ze smutkiem. Były to kobiety *blagorodnyje*, prawdziwe sybiraczki. Zapraszały mamę, by usiadła, wycierały fartuchem i tak czyste ławki i częstowały nas kartoflami zalanymi mlekiem i wyprażonymi w piecu w *czugunnych* garnkach. Byłam spragniona gorącego posiłku i te kartofle bardzo mi smakowały, ale przepyszne wprost były *szaŋgi*. Piekły je w specjalnych foremkach w wygrzanym piecu. Był to produkt kartoflano-owsiany - syberyjska specjalność. Żegnając się i nisko kłaniając przed ikonami wypytywały mamę, skąd nas wiozą, dokąd i dlaczego. Mama odpowiadała, że nie wie, dlaczego wyrwano nas w środku surowej zimy i przewieziono tysiące kilometrów na zatracenie. Po prostu taki los. Wtedy one znów zamasyżycie żegnały się trzema palcami i kłaniały do ziemi. Współczuły nam i były dobre, ale tylko starsze kobiety. Komsomołki patrzyły na nas z wielką niechęcią, a nawet z nienawiścią. Często mówiły, że przyjechaliśmy ich *chleb zrat!* Nie udało się mamie wytłumaczyć im, że nie przyjechaliśmy tutaj na zaproszenie ani z własnej woli.

Wnętrza tych domów dziwiły mnie. Była to swego rodzaju egzotyka. Nieduże, drewniane, kolorowe, z gankiem o rzeźbionych kolumnkach, balustradach i dachu. Kolorowe i rzeźbione były również okiennice i zwieńczenia dachów. Wchodziło się najpierw na ganek, potem do sieni i do obszernej izby. Zwykle była to jedna izba. Przy wejściu stał duży biały piec chlebowy. Na wprost drzwi kwadratowy lub prostokątny stół z narożnymi ławkami z dwóch stron i krzesłami z dwóch następnych. W rogu nad stołem wisiały poczemiale ze starości, w srebrnych lub złotych oprawach ikony z zapalonymi przed nimi lampkami. Ile razy wchodził ktoś do izby, zęgnął się po trzykroć i nisko kłaniał przed ikonami.

Koło drzwi, przy ścianie, stało żelazne, pięknie posłane łóżko. Przed nim na podłodze leżał ręcznej roboty kolorowy dywanik. Łóżko przykryte było jakby „halką”, haftowaną i wyszywaną, która wystawała spod pięknej narzuty, a dopiero na wierzchu ułożona była sterta poduszek w haftowanych poszewkach. To łóżko nie było do spania, to była „ozdoba”. Nad łóżkiem zaś były tzw. *polati* - drewniane prycze malowane na kolor orzechowy lub bordo. Na *polatiach* spała cała młodsza generacja, miejsce na piecu zajmowali dziadkowie.

Okna nie były duże, na noc zamykano okiennice. W oknach wisiały ręcznie wykonane firanki z materiału lub wycięte z gazet. Za domkiem każdy gospodarz miał swoją „banię” czyli łaźnię. Co sobota szła rodzina do „bani”, tam wyparzali się wszyscy, bili brzożowymi witkami aż siódme poty po nich spływały, a potem zasiadali przy stole i pili *goriaczjy kriepkij i bez sachara czaj*, pozdrawiając się nawzajem *s logkim parom* co oznacza życzenia miłego, lekkiego oddechu.

Widziałam również domy biedoty, tzw. *obszczeżytia*. To był koszmar. Przed takimi

domami ordynarnie zaczepiała nas *szpana* brudna i oberwana. Wystraszona bałam się na nich spojrzeć i tuliłam się do taty.

Bardzo mnie zaskakiwały stroje kobiet. Nosiły tzw. sarafany, zakładane na białe, suto marszczone i haftowane bluzki. Czoła przewiązane miały do połowy błyszczącą kolorową chustką, na to nakładały wysokie czepece. Na wszystko patrzyłam z zaciekawieniem i zdziwieniem. To, w co ubierały się młodsze kobiety i dziewczęta nie podobało mi się wcale. Chyba była to ich domorośla „moda” lub przymus życiowy. Chodziły w walonkach na gołe nogi, perkalowych spódnicach, a na wierzchu miały watowane kufajki. Prosiły mamę o pończochy, bo w ich sklepach nie było.

Wielkie wrażenie robili na mnie dozorczy z potężnymi miotłami i sumiastymi wąsami, tzw. *dworniki*. Stali groźni i ze złością patrzyli na chodzących po chodnikach ludzi, gdyż наносили śnieg, który oni musieli sprzątać. Dozorcy też byli swego rodzaju pejżażem. Sam ich ubiór świadczył o tradycji. Mieli walonki, kozuchy, czapki-uszanki i białe fartuchy skrzyżowane na plecach. Ich potężne miotły były postrachem dla miejskiej szpany - chuliganów. Mama powiedziała: „Nic tu się nie zmieniło. Pozostało jak za cara”.

Mimo zapowiedzi *gław-komendanta*, że szybko pojedziemy na *posiolki*, nasz pobyt w Kotłasiu przeciągał się. Znowu pojawiły się choroby brudnych rąk. Panowała czerwonka, tyfus plamisty i szkarlatyna. Umierały dzieci, umierali dorośli. Ludzie domagali się mydła i możliwości wymycia się, ale bez skutku. U Berchertów umarł dziadek, u Ptaków - matka. Wszy i brud wszystkim doskwierały. Polacy szemrali coraz głośniej. W szkole pojawiło się więcej enkawudzistów. Zaostrzyły się rygory, a podwojony jak nie przybywały, tak nie przybywały. Choroby dziesiątkowały polskie rodziny. Ciągłe wynoszono kogoś

do szpitala lub do kostnicy. Codziennie *gław-komendant* obiecywał, że dziś na pewno część ludzi pojedzie, ale nadchodził wieczór, a sanie nie przybywały. Dorosli mówili, że na pewno tutaj wszyscy zarazimy się i poumieramy.

Nagle zaczęto rozdawać Polakom olbrzymie ilości zapalek. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Komendant wyjaśnił, że zapalki przysłał rząd po to, aby podczas jazdy saniami palić pochodnie i ogniska, by tym sposobem bronić się przed stadami wilków. Znów błąd strach padł na ludzi. Mówili: „Czego nie dokonały choroby, dokończą wilki”, ale tubylcy śmieli się i zaprzeczali: „Zapalki dają wam po to, żebyście radzili sobie w tajdze, bo kiedy wywożą was do tajgi, to zostawią w lesie i życie, jak potraficie. Będziecie się bronić przed mrozem i zimą, a nie przed wilkami, bo ich tutaj nie ma. Nie mają dokąd was zawieźć, bo nie ma żadnych *posiołków*, jest tylko tajga. Tak postępowali już z rosyjskimi *zsylnymi* w 1921 i w 1932 roku i tak będzie z wami”.

Polaków ogarnęła panika. *Gław-komendant* zaprzeczał, twierdził, że to potwarz, że mówią tak „wrogowie” ludu i trzeba ich tępić i że ma gorącą prośbę, aby wskazać milicji tych, co się ją zamęt. Rezultat był taki że kotłowanie na głucho zamknęli przed nami swoje drzwi, a *gław-komendant* przestał wydawać *propuski*. Wszyscy wierzyli mieszkańcom nie komendantowi. Choroby robiły swoje. Zamknięci, głodni i brudni czekaliśmy...

W końcu pojawiły się podwozy. *Gławka* wyczytał nazwiska, a wyczytani ładowali na sanie swój coraz nędzniejszy dobytek i machając rękami tym, co zostali, ruszali ku swemu przeznaczeniu. Nas nie wyczytał. Wszystkim wyjaśnił, że mając na uwadze „dobro” ludzi, najpierw pojedą rodziny z małymi dziećmi i starszankami. Według niego nie zaliczaliśmy się do tej grupy.

Z płaczem żegnaliśmy odjeżdżających Berchertów. Lubiliśmy się bardzo i po tylu latach nas rozdzielono (jak się potem okazało na zawsze). Z żalem żegnał śliczną czarnooką Jankę Berchertównę nasz późniejszy komendant Tropin. Nieraz widziałam jak Tropin wpadał do naszego kąta, gdzie dzieliłiśmy pryczę z Berchertami i zapraszał Jankę na *progulku*. Janka nakładała palto, granatowy berecik i uśmiechając się zalotnie wychodziła z komendantem. Po takim spotkaniu wracała z cukierkami, które natychmiast między nas rozdzielała. Przypadła Tropinowi do serca, a i on nie był jej obojętny. Kiedy wyczytano ich nazwisko i zaczęli się pakować, do Ust' Zaruby przybiegł Tropin i jak oszalały błagał Jankę, by się nie pakowali, bo on „załatwił”, że pojedą tam, gdzie on będzie komendantem. Ale tak tylko mu się zdawało, nie był w łaskach u *starszyny*. Wrócił biały jak kreda, wziął Jankę za rękę i całował jej delikatne palce i cichym głosem mówił:

- *Praszczaj Janina Janowna, bolsze my uż nie uwidimsia, z taboju - patrzył jej w oczy i uśmiechał się smutno.*

Tropin dostał *prikaz* gdzie indziej, a Jankę z rodziną wysłano gdzie indziej. Nie było na to rady...

Potem na Obilu wypytywał mamę o Jankę, cmokał i powtarzał: *zumieczutielnaja dziewczuszka, kakaja choroszeńka oj żal jejo...*

A kiedy poszedł na front prosił mamę aby pozdrowiła Jankę jeżeli ją zobaczy i powie, że o niej pamiętał...

A my ciągle czekaliśmy. Byliśmy nieludźko brudni, zawszeni i schorowani... Nie myśliśmy się już ponad sześć tygodni. Zapasy żywności były na wyczerpaniu, a jeżeli zostało jeszcze trochę kaszy czy grochu, nie było gdzie tego gotować. Doświadczyłam jeszcze jednego uczucia - głodu. Nie byłam głodna w pociągu, a tutaj - tak. Nie rozumiałam, że mama nie ma dla

nas nawet chleba do syta. Brud, wszy, choroby i jeszcze głód, to było ponad moje dziecięce siły. Położyłam się na pryczy i przez całe dnie nie wstawałam. Było mi źle i byłam głodna. Bolał mnie brzuch, miałam wymioty i biegunkę. Mama też ledwo żyła. Trzymała się resztkami sił, a ludzie umierali...

Podwozy przyjeżdżały, komendant wyczytywał nazwiska, szkoła pustoszała, a myśmy czekali...

Pewnego wieczoru przyszedł Tropin i oznajmił, że jutro wszyscy pojedziemy, bo przybywa cała masa podwód. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam zbierać swoje fatałaszkę i zabawki, chciałam już jechać, natychmiast. Tropin powiedział, że rząd bardzo się „troszczy” o Polaków i dlatego zebrano taką ilość sań, by wszyscy się na nie załadowali, gdyż trzeba jechać póki mróz trzyma, bo jak puszczą lody nie dojedziemy do posiołków. Nie ma innej drogi. Trzeba jechać tylko po zamarzniętych rzekach. Rankiem z radością (tak!) i ulgą układaliśmy nasze tobolki na saniach. Mróz i zamieć były nie do zniesienia, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Wozacy natomiast byli źli i z nienawiścią patrzyli na nas. Jeżeli ktoś o coś się zwrócił do któregoś z nich, oni nie odpowiadali, lecz *natiugali się* (kleli). Pamiętam, jak mama, po usłyszeniu takiej wiązanki, stanęła jak wryta i powiedziała: „Boże, a to co takiego!” - ale oni nie zwracali uwagi, kleli dalej. Wtedy to po raz pierwszy dowiedziałam się, że istnieje aż takie straszne słowa. Przed wojną nigdy ich nie słyszałam.

Mama cały czas czuła się zawstydzona, więc kiedy już jechaliśmy, spytała woźnicę dlaczego tak strasznie klną, dlaczego nie wstydzą się dzieci i kobiet. Spojrzał na mamę i powiedział, że jak pożyje tutaj dłużej, to się dowie i nauczy...

Podobały mi się ich sanie. Były inne niż nasze na Wołyniu. Niziutki, na

cienkich płozach. Drabinki rozszerzały się do tyłu w kształcie wachlarza, by sanie nie były wywrotne. Można było zaprzęgać do nich po jednym koniu, gdyż miały hołoble zakończone *dugoju* (kabłąkiem). Konie też były inne - niezbyt duże i włochate, jak młode cielęta. Patrzyłam na nie z ciekawością i zdziwieniem, bo nasze były piękne, duże i błyszczące. Woźnica powiedział, że są przystosowane do klimatu, ale pomimo małego wzrostu są bardzo silne i wytrzymałe. Największą ich zaletą jest to, że nie muszą dużo jeść. Były ładnie utrzymane i tłuste, co stwierdziła moja mama, a mama doskonale знаła się na koniach. Uprząż ozdabiano, a zawieszono wysoko na kabłąku dzwoneczki wydawały melancholijne, jednostajne dźwięki podczas kłusa.

Woźnice wyraźnie dbali o konie, czym zyskali uznanie w oczach taty. Na każdym postoju przyczepiali im torby pod pyski i przykrywali derkami i rogozami. Nie widziałam, aby któryś z wozaków bił konie. Trzymali w rękach ozdobione, krótkie baty, lecz były one wyłącznie dla parady.

Po rzece, między wysokimi brzegami biegły konie truchcikiem, jeden za drugim i nie trzeba było poganiacza. Jeden wozak miał pod swoją pieczęć dziesięć par sań, konie reagowały na jego pohukiwania i cmokanie.

Żałowaliśmy cały nasz dobytek, mama otulała nas w koce i futra. Idąc do sań spojrzalam na niekończący się tabor i mocniej ścisnęłam maminą rękę. Kiedy już wszyscy usadowili się, woźnica wszedł na pierwsze sanie i dając znak ręką krzyknął: *Trogaj*. Drgnęła cała kawalkada. Wszyscy - Rosjanie i Polacy, przeżegnali się, a nasz woźnica, splunął parę razy za siebie. Delikatnie smutno dźwięczały dzwoneczki. Zjeżdżaliśmy na Dwinę. Mama spytała, czy nie grozi nam utonięcie, bo już marzec, ale woźnica zaśmiał się tylko i powiedział, że

lód jest tak gruby, że absolutnie nic nam ze strony rzeki nie grozi. Niebawem przekonaliliśmy się, Dwina faktycznie skuta była bardzo grubym lodem. Chcąc napoić konie wozacy musieli długo rąbać lód toporami i kilofami. Przeręble zamarzały prawie natychmiast.

Wtedy też okazało się, że ci wozacy wcale nie są tak złymi ludźmi, jak nam się wydawało. Oni klęli na swoją dolę i bezsilność, na niemoc. Rzadko siadali na sanie, przeważnie szli obok. Sprawdzali, czy jest nam ciepło, a nachylając się nad nami pytali: *nie proziab?* Otulali nasze nogi i uśmiechali się. Szczególnie dbali o Gienia, który bez słowa skargi leżał na saniach, bo trawiła go wysoka gorączka. Czoło miał rozpalone, a ręce i nogi lodowate. Woźnica patrzył na Gienia i mówił do mamy: *Barinia, wasz syniszka pomriot, ostawtie jego w bolnice*, ale mama w milczeniu zaprzeczała ruchem głowy.

Po drodze Gienio nie umarł, ale przemarzył tak strasznie, że ślad tego pozostał mu na całe życie.

Nasz woźnica całymi kilometrami szedł obok nas, a jeżeli przysiadł na sanie to owijał się w olbrzymi *tulub* i nucił tęskne piosenki, albo rozmawiał z mamą, wypytując dokładnie o życie w Polsce, o zwyczaje i obyczaje, a słuchając cmokał wargami i świszcząc przez zęby kłął cicho: *Wot żyli ludi, jeti jego mat'. A u nas? Takaja ogromnaja strana, a my - raby wot jeti...* Tato jechał na ostatnich saniach, pilnował tego, co nam zostało. Mama czasami schodziła z sań i biegła obok by zagrać stopy, bo choć trzewiczki były sznurowane i wysokie, a na nich ciepłe śniegowce, nic nie znaczyły wobec tutejszego mrozu. Woźnica patrzył na mamę i mówił: *Żalko was, barinia, wy, takaja chrupkaja, nieznaja, kak diewoczka, kak że wy żyt' budietie - šredi etowo chamia* i dodawał, że czego nie zrobi mróz dokończy głodna wiosna. Mama

odpowiadała, że z Bożą pomocą jakoś wyżyje, aby tylko wrócić z dziećmi do Polski. Woźnica gwizdał przeciągle i milkł na dłużej.

Jechaliśmy po rzece od wczesnego ranka do późnego wieczoru. Wysokie brzegi Dwiny chroniły przed wiatrem. Wokół widniał tylko las i las, czasami pojawił się pusty dom bez okien z wyszczerbionym dachem i ze stukającymi żałośnie okiennicami. Woźnica mówił, że właściciele tych domów pewnie poumierali lub zesłano ich daleko na północ. Takie widoki napawały mnie strachem. Również niesamowicie było wieczorem, gdy na wszystkich saniach paliły się pochodnie. Posuwały się naprzód ruchome cienie ni to ludzi, ni to duchów. Mimo zapewnień woźniców, że nic nam od strony rzeki nie grozi, zdarzały się pęknięcia lodu. Jeżeli będzie prawdziwe niebezpieczeństwo, to pierwszy koń zatrzyma się, bo „wyczuje” to - mówił woźnica.

Mimo wszystko „podróży” nie traktowałam tragicznie. Wszystko mnie ciekawiło i już myślałam o tym, jak to będę opowiadać babuni o tym, co przeżyłam, jaką przebyłam drogę. Podobał mi się ciągnący sznur sań i jednostajnie dzwoniące dzwoneczki.

Wilków faktycznie nie spotkaliśmy ani razu.

Na noclegi zatrzymywaliśmy się w wiejskich chatach, które zewnątrz i wewnątrz podobne były do domów w Kotłasiu. Komendant wprowadzał nas, a *chazajki* bez słowa sprzeciwu stawały na stołach dymiące samowary, zapraszały *na kipitok*, ale nam chciało się spać. Przynoszono więc stomę i ścielono ją na podłodze. Padaliśmy na nią i zasypiali natychmiast. Nie obchodziło nas ani mycie, ani jedzenie, choć byliśmy brudni i głodni. Zresztą na stole stał tylko samowar. Nie było herbaty ani cukru.

Rano z płaczem wstawaliśmy i z płaczem wychodziliśmy na siarczysty mróz, by jechać dalej. Rosjanki stały na gankach i żegnając się po trzykroć, wycierały fartuchami oczy.

Z nudów woźnica wypytywał mamę o wszystko co dotyczyło naszego życia, a gdy mama zamyślała się opowiadał o niezwykłych przygodach, o dobrych i złych duchach. Bałam się tych opowieści i naciągałam futro na uszy.

Kiedyś jechaliśmy bez postoju wyjątkowo długo. Byłam zmęczona i głodna, cierpły mi nogi, było mi zimno, marudziłam i płakałam, byłam zmarznięta i chora. Zrobiła się późna noc, a my ciągle jechaliśmy, była tu całkowita głusza i wioski jedna od drugiej oddalone o kilkadziesiąt kilometrów. Nie było gdzie zatrzymać się na nocleg. Zaczęłam płakać i prosić mamę o coś dobrego do jedzenia. Mama niczego nie miała i ja wiedziałam o tym, ale marudziłam „chcę jabłko” i coraz natarczywiej – „chcę jabłko”. Mama rozłożyła się i skrzyczała mnie, kazała leżeć cicho i być grzeczną. Wtedy woźnica przeżegnał się trzy razy i trzy razy splunął przez ramię. Ostro powiedział do mamy, że w nocy, w lesie o tej porze nad uchem dzieci „przycupują” *leszaci* i one to szepcą im, by dokuczały matkom. Rozgniewana matka przeklnie dziecko, a wtedy *leszaci* capnie je i ucieknie. Odda je potem niby to samo, ale nie jest już ono, takie jak przedtem, podobne, ale dusza już *leszaci*. Właśnie z takiego dziecka wyrastają potem *leszaki* i *leszaci*.

On sam miał takie przeżycie. Pewnego razu matka jego piekła chleb, a on to drzwiczki otworzy i żar podłogę wypali, to wodę rozleje, to tak huśta kołyskę, że braciszka z niej wyrzuci. Matka nie wytrzymała, wytarła ręce i złapała go za kołnierz, już, już miała uderzyć go i zakląć: *A podieri tiebie leszjy*, ale wstrzymała się.

Popatrzyła na niego, a tu kukulka wyskoczyła z zegara i zakukała jedenaste razy. „Aha, myśli matka - pora duchów się zbliża, pewno *leszaci* jakąś szparą wcisnęła się do chaty”. Przygarnęła go do siebie i powiedziała: *Czto ty ditiatko, boh z taboj* i przeżegnała go, a tu „klap” stuknęły drzwi, a to *leszaci* uciekła, bo usłyszała słowo Boże, a gdyby tak przekleństwo? Już by nie był dobrym człowiekiem, a tak ot jest, pracuje i Boga chwali.

To opowiadanie tak mnie przeraziło, że przestałam płakać, skurczyłam się i jeszcze mocniej zamknęłam oczy. Bałam się je otworzyć, by nie zobaczyć *leszaci*.

Mama opowiadając to tacie śmiała się i mówiła, że chyba jednak ta *leszaci* zrobiła swoje, bo jak się koń zaplątał w postronki, to ten „dobry człowiek” tak kłął, że mamie zrobiło się słabo. Każdy z wozaków miał niewyczerpany zasób tych pornosłów. Mógł bez zająknięcia kłąć przez cały dzień i nie powtórzyć się ani razu.

Gienio leżał cichutko i żył.

Po wielu męczących dniach i nocach dotarliśmy do małego, zagubionego w tajdze miasteczka Czerwakowa. Nie był to jednak kres naszej długiej „podróży”. Naszym przeznaczeniem był posesłek w tajdze.

Znów zawieziono nas do szkoły. Można by pomyśleć, że rosyjskie dzieci, dzięki nam, miały permanentnie... wakacje.

Zjadały nas wszy, choroby i brud. Rodzice mówili, że niech będzie, co ma być, ale niech dowiozą nas w końcu tam, gdzie Stalin wyznaczył miejsce, bo poumieramy wszyscy. Ciągłe kogoś grzebano w śniegu na brzegu rzeki, w pośpiechu i naprędce rodzina wbijała w śnieg krzyż wiązany z gałązek i jechaliśmy dalej w smutnym, monotonnym i lodowatym krajobrazie.

W Czerwakowie nasz woźnica życzył nam „szczęścia”, zabrał swoje koniki i

pojechał z powrotem. Mróz, zimno, głód dały się nam bardzo we znaki. Wszyscy byliśmy chorzy. Leżeliśmy cisi i spokojni na swojej pryczy. Jedna mama nie położyła się, chodziła przy nas wszystkich, karmiła nas i przebierała w suche ubrania, tuliła, całowała i pocieszała. Ukradkiem, bez przepustki wychodziła i wymieniała rzeczy na kartofle lub cebulę. Starła się odżywić nas „witaminami”.

Tym razem nie czekaliśmy zbyt długo. Po kilku dniach przysły podwozy, zwlekliśmy się z pryczy i pojechaliliśmy po zamarzniętej rzece dalej w głąb tajgi. Poczułam się trochę lepiej, więc nie leżałam na saniach, a podparta poduszką siedziałam i przyglądałam się brodatym świerkom, których wierzchołków nie mogłam dojrzeć. Takich drzew nie widziałam w Polsce. Samo słowo „tajga”, którego nie rozumiałam, robiło na mnie wrażenie.

Konie zapadały się po brzuchy w śniegu i ledwie ciągnęły po nieprzetartej drodze przeładowane sanie. Wiał zimnem i grozą. W niektórych miejscach lód był już cienki i wozacy klęli, że będą musieli jechać brzegiem po zawianej drodze, której żaden z nich nie znał.

W chłopskiej izbie tato kładąc się na słomę, powiedział: „Jesteśmy już tak daleko od Polski, że uwierzyć trudno, byśmy jeszcze kiedyś wrócili”. A Euzebiusz dodał: „Marszałek też był na zesłaniu i wrócił”.

Koniom szło się ciężko i wozacy kazali dorosłym i zdrowym iść, bo inaczej nie dojedziemy. Prawie wszyscy byliśmy chorzy. Szli więc przy saniach tato, mama, Marysia i Emil. Z kolei my we troje leżeliśmy. Oni też nie mogli iść zbyt długo, bo nie mieli odpowiednich butów. W ich trzewiki wsypywał się śnieg, zapadali się w zaspę, co chwila ktoś padał. Tato zdenerwował się i kazał im usiąść na sanie. Woznica klął i ciskał się ale jechali

wszyscy z wyjątkiem taty. Tato szedł obok mamy i mówił: „straszna tu zima, a u nas już przedwiośnie, pewno skowronki przyleciały...”. A mama dorzucała: - „nasze bociany gniazdo poprawiają na stodole, a Kozioł ciągle obręczy nie zmienił...”. Milkli obydwójce i patrzyli smutno w ciemny, bez początku i końca las. Tam, w domu nastawała pora przeglądania maszyn rolniczych, szycowania się do orki i zasiewów. – „Co tam dzieje się z moimi pszczołami” - pytał tato, chyba siebie, a mama chcąc mu przerwać smutne myśli zaśmiała się i powiedziała: „Pamiętasz, jak poszedłeś do pszczół sprawdzić, jak przeżyły zimę, a Felunia przybiegła po chwili z płaczem i woła: „mamo, tato zabił pszczołom mamunię, a one poskładały rączki i tak płaczą”. Pocieszna mała. Oboje uśmiechnęli się i zamilkli. Jakiś czas nic nie mówili. Pierwszy odezwał się tato: „Moje dzieci, tyle miałem planów, tyle nadziei i co, co będzie z naszymi dziećmi, ta tajga pochłonie je...”

Któregoś wieczoru zobaczyliśmy poprzez gęste świerki migocące światełka. Wszyscy ożywi się, zaczęli zeskakiwać z sań i bieć w ich kierunku. Po dłuższej chwili wjechaliśmy do mikroskopijnego, otoczonego lasem *posiolka*. Koniki parskwały i prycały i chyba, jak ludzie, przyjęły z ulgą kres wędrówki.

Kiedy pozostałe sanie dobiły do nas, Tropin przybiegł (jechał na ostatnich saniach) i zacierając ręce powiedział: *Wot prijehali, sława Bohu, to posiolok Obil i rieka toże Obil*.

Mama rozejrzała się i spytała z lękiem: „Gdzież nas pomieszczą, widzę tu parę baraków”.

Istotnie baraków było sześć czy siedem, a rodzin chyba z sześćdziesiąt. Tropin wyczytał, kto do jakiego baraku przydzielony, kazał „rozgościć się”, a sam pobiegł obejrzeć komendanturę.

Weszliśmy do baraku i staliśmy bezradni, to nie był dom dla nas, to był wspólny, z ohydnyimi narami, pusty barak. Między belkami sterczał mech. Byłam przerażona, bo co tu mówić, całą drogę wyobrażałam sobie, że zamieszkamy w ślicznym domku, będę mieć pokój z Marysią i będzie nam dobrze...

Pierwszy połapał się Emil. Dał susa i zajął dla nas górną pryczę, on jeden w porę przypomniał sobie nasze udręczenie z „ciotką” i nie dał się nikomu wyprzedzić.

Byłam przygnębiona i apatyczna. Niczego mi się nie chciało. Nie byłam jeszcze całkiem zdrowa. Położyłam się i błyskawicznie zasnęłam.

W środku nocy zbudziło mnie głośnie szlochanie. Od razu oprzytomniałam, serce waliło mi jak młot, bo... płakała mama. Nigdy nie słyszałam mamy tak płaczącej. Siedziała z głową schyloną na kolanach i płakała jak małe skrzywdzone dziecko. Zaczęłam także płakać, zbudziła się Marysia i też się rozpłakała.

Tato tulił mamę i uspokajał. Nie wiedziałam, o co chodzi, aż tu nagle przy zapalanej latarni zobaczyłam rój czerwonych, ohydnych robaków

pełzających po pościeli, poduszkach, kołdrach, suficie, belkach i gdzie tylko spojrziałam, wszędzie łąziły te robaki.

- Co to? - krzyknęłam przerażona, a że bałam się wszelkiego paskudztwa, zaczęłam krzyczeć ze strachu.

- To pluskwy - odpowiedział Fajfer, nasz sąsiad z dołu. Niech pani nie płacze - mówił do mamy - niech pani je tłucze. Patrzyłam na to ruszające się i pędzące gdzieś paskudztwo z obrzydzeniem i wstrętem. Opite krwią chowały się w mchu. Było czerwono od nich. Mama najpierw je tłukła, potem rozcierała jakąś szmatą, a kiedy stwierdziła, że nie da rady, załamała się i rozpłakała.

Rozgniecione robactwo wydzielalo wstrętny odór, od którego robiło się niedobrze. Zawsze byłam wrażliwa na zapachy, a ten wrywał mi wewnątrzności, krztusiłam się i dusiłam. Widząc to mama przestała płakać, zniosła mnie i położyła na naszym kufrze, trochę się uspokoiłam. Tato łagodnym głosem uspokajał Marysię. Zaczynałam zasypiać. Mama nie spała. Całą noc zrzucała robactwo z naszych twarzy, bała się, że powchodzą nam do uszu, ust lub nosa.

C.d. w następnym numerze *KS*